**Autor: Maria Sukow (15 lat)**

Chciałabym się określić. Powiedzieć kim jestem. Wiem, że mam na imię Edith. Od dawna nie używam mojego nazwiska, więc po latach już go nawet nie pamiętam. Nie wiem ile mam lat, nie obchodzę urodzin. Wydaje mi się, że zapewne coś koło dziewiętnastu. Jestem po prostu Edith. Chcę się określać jako Edith – zawsze chce nią być.

*26.07.1991r.*

Jest dzisiaj za gorąco. Nie jest to przyjemne ciepło. Jest z a gorąco. Tak bardzo, że lodziarnia przeżywa prawdziwe oblężenie. Z tego akurat powinnam się cieszyć, ale jest to dla mnie jedynie dodatkowa praca. Podczas swojej przerwy i ja postanowiłam dołączyć do grupy lodowych ludzi. Kropla cytrynowego sorbetu powoli spływa po moim przegubie. Zerknęłam na nią po czym przymknęłam oczy. Rozkoszowałam się przyjemnym zimnem.

– Edith! – usłyszałam stłumione wołanie właściciela lodziarni – Edith! – zawołał po raz kolejny, jednak głośniej i jakby bliżej. Otworzyłam oczy – Twoja przerwa się już skończyła, a my mamy tłum klientów, gdzie ty jesteś? – krzyknął rozwścieczony.

Wstałam wyrzucając niedojedzone lody. Po raz ostatni obróciłam się zerkając na odrapane ściany skąpane w blasku słońca. Powolnym ruchem otworzyłam ciężkie, stalowoszare drzwi i weszłam z powrotem do środka. Spojrzałam po bezkształtnej masie ludzi. Nie odzywając się do wyraźnie zdenerwowanego szefa stanęłam za ladą. Posłusznie, bez słowa skargi przyjmowałam zamówienia do końca dnia. Jaki smak? Proszę. Miłego dnia. Zapraszam ponownie. Uśmiech.

Wieczorem to ja miałam zamknąć lokal. W moich uszach wciąż dźwięczał gwar rozmów i szum podwieszanego do sufitu wiatraka. W kieszeni fartucha dzwoniły napiwki. Poprawiłam krzywą, samodzielnie zrobioną grzywkę i wyszłam zamykając za sobą drzwi. Chciałam iść po jakieś zakupy. Chciałam wyjść gdziekolwiek, jednak spędziłam kolejny wieczór w moim mieszkaniu. Leżałam na podniszczonej sofie w staroświeckie wzory. Przykryłam się kolorowym kocem i szybko usnęłam. Obudziłam się w środku nocy cała zlana potem. Spływał mi po włosach. Mokra sukienka lepiła się do ciała. Usnęłam.

*27.07.1991r.*

Obudziłam się z samego rana. Właściwie to obudziły mnie drażniące promyki słońca. Byłam dziwnie niewyspana, choć położyłam się wyjątkowo wcześnie. Kilkakrotnie zamrugałam i podniosłam się na kanapie do pozycji siedzącej. Zerknęłam na widok za oknem. Nie chciałam wstawać. To był jeden z tych dni, kiedy miałam ochotę zanurzyć się pod tonią ciemnego stawu, który był u nas w miasteczku i nigdy się nie wynurzać. Dłonie z zaniedbanymi paznokciami ułożyłam na skroniach. Potarłam je kilka razy. Dręczył mnie okropny ból głowy. Wstałam by otworzyć okno, lecz moment później znowu je zamknęłam. Drażniły mnie dźwięki dochodzące z zewnątrz. Westchnęłam ledwie słyszalnie i chwiejnym krokiem ruszyłam do łazienki. Usiadłam na chłodnych, białych kafelkach. W dłoni trzymałam strzykawkę. Przymknęłam oczy pragnąc wyrównać oddech. Położyłam jednak ampułkę na stos innych rzeczy spokojnie spoczywającą na od dawna wypełnionym po brzegi koszu na pranie. Zdjęłam wczorajsze ubrania. Weszłam do kabiny prysznicowej. Boję się. Kiedy mydliłam dłonie zauważyłam, że one drżały. Przesuwałam rękoma po ciele chcąc zmyć z siebie okropny zapach potu i brudu. Gdyby porażka miała zapach śmierdziałabym nią nieustannie. Zakręcam korek wody. Usłyszałam ich głosy. Rozejrzałam się nerwowo i przygryzłam dolną wargę. Śledzą mnie. Znowu tu są i chcą moich strzykawek. Przyszli je zabrać, a mi zrobić coś okropnego. Podjęłam decyzję w ułamku sekundy. Wciąż ociekająca wodą wybiegłam spod prysznica. Rozejrzałam się po raz kolejny i z ulgą zauważyłam, że nikogo nie ma w mieszkaniu prócz mojej żałosnej osoby. Jęknęłam cicho. Znów nie udało mi się ich dorwać. Jeszcze wrócą – pocieszyłam siebie i wyjęłam z paczki kolejnego papierosa. Narzuciłam sukienkę i wyszłam z domu uprzednio skrupulatnie sprawdzając, czy oby na pewno je zamknęłam. Podczas przemierzania tych samych ulic i mijania znajomych elementów czuję, że wszystko jest w porządku. Wszystko na swoim miejscu. Spokój.

– Dzisiaj też jest gorąco – mruknęłam do stojącej obok kobiety wydmuchując dym.

Nie usłyszałam jednak odpowiedzi. Nikt nigdy nie chce mi odpowiadać.

Nie poszłam dzisiaj do pracy. Starając się ignorować ciągłe dzwonienie komórki zmierzałam do jedynego baru w naszym zapadłym miasteczku. Nie wiem, czy ktoś naprawdę do mnie dzwonił. Wiem, że granica pomiędzy tym co prawdziwe, a tym co jest jedynie urojeniem coraz bardziej się zaciera.

Weszłam do środka lokalu. Woń kawy i słodki duszący zapach syropu klonowego również mnie drażnił. Usiadłam jednak przy barze. Podniosłam wzrok na wpatrującą się we mnie ze zniecierpliwieniem kelnerkę, która widocznie oczekiwała na informację o moim zamówieniu.

– Poproszę wafle – uśmiechnęłam się lekko, a raczej uniosłam kąciki ust w krzywym uśmiechu, by sprawić milsze, delikatniejsze wrażenie.

O dziwo kobieta mi odpowiedziała. Chyba powinnam częściej się uśmiechać. Po chwili z zadowoleniem zapłaciłam za moje śniadanie. Przeżuwałam powoli wafle obficie polane gęstym syropem. Ludzie popijali kawę. Wpatrywali się tępo w wiadomości przesuwające się po ekranie podwieszanego telewizora.

*Ciało młodej dziewczyny w jeziorze w Crawley*

Przełknęłam kolejny kęs moich gofrów. Również skupiłam wzrok na ekranie dołączając do reszty oglądających.

– Zgłośnisz? – spytałam kelnerki, która po znalezieniu pilota gdzieś pod czerwoną, obitą w brązową boazerią ladą wykonała moją prośbę.

*Biegli nie znają jeszcze motywów mordercy ani przyczyny tego tragicznego zdarzenia. Ciało znaleziono w małym miasteczku Crawley znajdującym się w południowo – wschodniej Anglii. Znajdujące się w miasteczku jezioro to miejsce jego znalezienia. Zmarła ma siedemnaście lat, uczyła się w tutejszym liceum. Rodzina i przyjaciele są pogrążeni w żałobie.*

– Mordercy… W naszym małym Crawley. Nie do pomyślenia – kobieta za barem pokręciła głową myjąc kubki – teraz strach wychodzić z domu, a co dopiero wypuszczać dzieci. Przecież ten psychol wciąż może być na wolności!

Przyjęłam to z ulgą. Teraz przynajmniej miałam kolejne powody by spędzać dni pod kocem ze strzykawką w dłoni.

– Była taka młoda – dalej lamentowała kelnerka – znałam jej matkę, nie zasłużyła sobie na to wszystko co musi teraz przechodzić… to zawsze była naprawdę poczciwa kobieta. A jaka uczciwa i dobra dla wszystkich! Jej mała Luiza zawsze dobrze się uczyła, znalazła pracę, chłopaka. Miała wyjechać i zacząć porządne studia prawnicze… A teraz wszystko szlag wziął – jęknęła nieco żałośnie i wytarła ostatni kubek.

Pokiwałam jedynie głowę i skończyłam jeść. Zostawiłam dla kelnerki kilka pensów napiwku. Sama pracowałam tak jak ona. Wiedziałam jak cieszy choć kilka monet. Miałam szczerą nadzieję, że chociaż ona zrobi z nich pożytek i nie wyda wszystkiego na strzykawki.

Wyszłam z baru. Zastanawiałam się gdzie mogłabym teraz pójść. Nie ma opcji, bym dzisiaj pojawiła się w pracy. Te ściany o barwie limonkowej żółci i białe stoły przyprawiały mnie o klaustrofobię. W tym małym, dusznym pomieszczeniu pełnym ludzi czułam się dziwnie. Jak gdybym była nie na swoim miejscu. Jak gdyby wszyscy mnie szpiegowali. Mimo mojej wielkiej niechęci do tego miejsca musiałam pracować. Zarobione pieniądze starczały na czynsz i strzykawki. A bez nich czułabym się jeszcze gorzej. Moja sytuacja przypominała błędne koło.

Wczoraj znów sięgnęłam po strzykawki. Nie wiem co w nich było. Co tym razem Adam wpakował do środka. Cały wczesny wieczór przesiedziałam na podłodze mojego zasyfiałego salonu. Potem chyba zasnęłam.

Wiem, że powinnam coś zrobić. Cokolwiek. Wyjechać na studia, pogodzić się z moją rodziną i zabrać się do pracy. Coś osiągnąć. Wiem jednak również, że nie uda mi się tego zrobić.

Westchnęłam cicho i ruszyłam do łazienki. Otworzyłam białe drzwi z odpadającą z nich farbą. Rozejrzałam się po małym pomieszczeniu. Moje ręce automatycznie powędrowały do kosza na pranie. Ach… Edith. Dzisiaj nic nie brałaś. Dzisiaj możesz sobie pozwolić na jedną dawkę. Chwyciłam w dłonie jedną ze strzykawek i obróciłam ją w palcach. Uniosłam ampułkę bliżej. Zmrużyłam oczy. Nie zauważyłam w niej płynu. Rano była pełna. Rano była pełna. Rano była pełna. A może… A może już wtedy była pusta a ja pozostałam bez strzykawek. Nerwowo się rozejrzałam. Przymknęłam oczy oddychając płytko. Nie miałam już nic. Jęknęłam czując zbliżający się jutrzejszy głód. Wstałam i oparłam się dłońmi o umywalkę. Podniosłam wzrok i zerknęłam na moje odbicie w lustrze. Puste. Puste oczodoły jak moje piękne strzykawki. Szybko przeniosłam wzrok na wnętrze zlewu i odkręciłam kurek zimnej wody. Nabrałam chłodnej wody w dłonie i obmyłam swoją bladą twarz. Choć trochę odzyskałam przytomność. Pokręciłam głową i uprzednio zakręcając wodę wyszłam z łazienki. Otworzyłam okno. Zaczęłam przechadzać się raz po raz.

– Co mam zrobić? Czekać na mękę czy jakoś znaleźć działkę? Do tego muszę mieć pieniądze. Edith nie ma pieniędzy. Edith wszystko wydała – złapałam się za głowę i spojrzałam na moje bose stopy.

– Nie załatwię ich teraz. Zaraz przyjdzie głód. Zaraz przyjdzie ból – jęknęłam – Edith będzie wszystko bolało.

Skuliłam się na łóżku czując pierwszą falę wymiotów. Stłumiłam to jednak i zamknęłam oczy. Oddychałam ciężko. Och… Jak boli.

– Dajcie. Mi. Moje. Strzykawki. – zawołałam rozpaczliwie i przekręciłam się na drugi bok – dajcie mi moją fazę.

Przez dłuższy czas starałam się usnąć. Zasnąć i złagodzić ból. Miałam chociaż nadzieję, że to nie potrwa tak długo.

– Hej, wariatko! – usłyszałam wołanie – lepiej się do mnie nie zbliżaj, ty psycholko! – zachichotała. Tak, to zdecydowanie była ona.

Spojrzałam na nią spode łba. Miałam potulne spojrzenie.

– Nie gap się na mnie. Ja się nie zadaję z psycholkami – rzuciła z odrazą i spięła jasne włosy w wysoki kucyk – ja chciałam tylko popływać. Jest upalnie – zanurzyła stopę pod tonią jeziora.

– A ja pospacerować – odpowiedziałam cicho chcąc to wszystko wyjaśnić. Nie miałam czego. Jestem zwykłą dziewczyną, która przyszła na spacer w upalny dzień nad wodę.

– To tego nie rób i mnie nie podglądaj. Wszystkie od zawsze wiedziałyśmy, że coś jest z tobą nie tak – stwierdziła tonem jak gdyby mówiła o czymś tak błahym jak pogoda, zanurzyła się cała w wodzie.

– Nie jestem wariatką – podeszłam bliżej wody pewna swego. Przecież nie byłam wariatką.

– Jesteś i wszyscy to wiemy. Dlatego mieszkasz tu sama, a w szkole nigdy nawet nie miałaś z kim jeść durnego drugiego śniadania – wydęła małe, czerwone usta i popłynęła powoli.

Nie wiedziałam co jej odpowiedzieć. Może nic, bo niedługo po tym dowiedziałam się, że jej prochy są w całkiem ładnej urnie. Karma wraca, blondyneczko.

*28.07.1991r.*

Przebudziłam się o dwunastej następnego dnia. Leżałam na plecach wpatrując się w jasny sufit, z którego odpadał tynk.

Kiedy to było? Czy to w ogóle działo się naprawdę, czy mumysł dostarczał mi jeszcze więcej omamów? Podniosłam się do pozycji siedzącej i rozejrzałam się po pokoju. Wstałam i z szafy wyjęłam czerwoną sukienkę. Wzięłam pospieszny prysznic starając się ignorować piskliwy głosik. To chyba poczucie winy. Ja jednak nie miałam powodów. Przecież jej nie zabiłam… Nie wiem nawet kiedy spotkałyśmy się nad tym jeziorem. Narzuciłam sukienkę i wyjęłam papierosa. Kurczowo go trzymając zaciągnęłam się dymem. Nieważne. Zapomnę o tym. Nie zabiłam jej. Nie jestem psycholką ani tym bardziej morderczynią. A co jeśli naprawdę zginęła z mojej winy?

 – NIE! – wrzasnęłam – nie zabiłam jej, nie zabiłam, nie zabiłam, nie zabiłam – usiadłam na kanapie powtarzając wciąż te same słowa. Mama. Moja mama zawsze mówiła, że nawet najgorsze kłamstwo powtarzane kilkaset razy w końcu staje się prawdą. Właśnie dlatego przez kilkanaście minut wnętrze mojego mieszkania wypełniały te dwa słowa.

Wyszłam zamykając drzwi. Jak gdyby nigdy nic ruszyłam uliczkami miasta mijając kolejnych ludzi. Czy zauważali mój niepokój? A może już chcieli wydać osąd na wariatkę Edith? Morderczynię? Chciałam odrzucić te myśli gdzieś w głąb umysłu. Wciąż patrząc prosto przed siebie szybkim krokiem ruszyłam do najbardziej odmóżdżającego miejsca jakie znałam. Stanęłam przed białymi drzwiami lodziarni i pchnęłam je. Zauważyłam wściekłe spojrzenie szefa i tłum ludzi. Kiedy zawiązałam swój fartuch właściciel jednak odetchnął z ulgą i nawet się do mnie uśmiechnął. Zignorowałam to i ustałam przy kasie. Nabijałam kolejne kwoty do zapłaty. Nakładałam kolejne gałki. Starałam się wsłuchać w okropną muzykę lecącą z radia. Wszystko jednak było dobrze. Przynajmniej czułam. Tak. Zdecydowanie czułam, że wszystko jest normalnie dopóki nie usłyszałam komunikatu.

*Policja ustaliła nowe fakty w sprawie śmierci siedemnastoletniej Luizy. Nastolatka została prawdopodobnie utopiona podczas wieczornej kąpieli w okolicznym jeziorze. Zarówno śledczy jak i rodzina proszą o informację.*

*666 126 876 to numer specjalny, pod którym można skontaktować się z rodziną zmarłej.*

Właśnie wtedy obsługiwałam starszą kobietę z dwójką dzieci – najprawdopodobniej wnucząt. Nerwowym ruchem chwyciłam od niej pieniądze.

– Takie bydlę. Jak można było zamordować, i to z zimną krwią, tak młodą, niewinną dziewczynę! Strach o życie dzieciaków… Ach, teraz w Crawley nikt już nie jest bezpieczny.

Chciałam jej przerwać i dodać, że Luiza wcale nie była taka niewinna, ale na szczęście w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Zamiast tego pokiwałam głową ze zrozumieniem. Ludzie lubią jak ktoś się z nimi zgadza. Na moją aprobatę staruszka zareagowała krzywym uśmiechem, który zdecydowanie dużo bardziej przypominał grymas.

– Znałam Luizę – wypaliłam nagle, nakładając gałkę lodów czekoladowych.

– To dobrze, powinnaś odwiedzić jej matkę. Jest teraz bardzo samotna… – kobieta pochwyciła ode mnie lody i schyliła się by dać go wnuczce.

– Tak… Zrobię to dzisiaj. Na pewno potrzebuje wsparcia – stwierdziłam jeszcze i pożegnałam się z klientką.

Przynajmniej zostawiła duży napiwek.

\*\*\*

Nafaszerowana heroiną. Z szerokim uśmiechem szłam ulicą trzymając w rękach kupiony placek wiśniowy. Chyba tak powinnam zrobić. No… Zapiekanki i placki wracają do łask zwłaszcza w trakcie żałoby. Poprawiłam jeszcze włosy i zapukałam do drzwi. Zdążyłam zauważyć, że były mahoniowe, twarde, połyskujące, a co za tym idzie – drogie. Drzwi otworzyły się i na ganku pojawiła się kobieta w średnim wieku. Tego się nie spodziewałam. Zawsze myślałam, że ludzie w żałobie wyglądają inaczej.

Rozczochrane włosy zamieniła na schludnie uczesanego koka. Zamiast dresu miała na sobie czarną, przylegającą sukienkę, która podkreślała jej figurę. Nie miała na nogach kapci, a czarne szpilki. Jeszcze bardziej zdziwił mnie jej perfekcyjnie zrobiony makijaż.

– Dzień dobry – chciałam przerwać tą okropnie krępującą ciszę, która się między nami pojawiła.

– Kolejna dziennikarka? – zlustrowała mnie wzrokiem.

Nie powiem. Schlebiało mi, że ta elegancka kobieta stwierdziła, że pracuję w tak poważnym zawodzie. Mimowolnie kąciki moich ust uniosły się.

– Nie… Jestem koleżanką Luizy – podałam jej placek – przyniosłam ciasto.

– Ach, koleżanką. Moja córka odkąd pamiętam miała sporo koleżanek – westchnęła cicho patrząc gdzieś w przestrzeń za mną.

– Racja – to całe udawanie kogoś kim nie jestem spodobało mi się – była naprawdę… ciężko znaleźć słowa, które w pełni oddadzą to jaka była Luiza.

– Proszę, wejdź – kobieta uśmiechnęła się. Tak łatwo było wykreować fałszywy wizerunek siebie – mów mi Janel – odsunęła się gestem pokazując bym weszła do domu za nią.

­A co jeśli ją zabiłaś? ­– zapytał piskliwy głos w mojej głowie – a co jeżeli jesteś morderczynią? Zamierzasz teraz popijać kawkę z matką swojej ofiary?

Zamknij się – nakazałam. Uśmiechnęłam się i rozejrzałam po wnętrzu domu. Było tu elegancko i schludnie – tak jak sobie to wyobrażałam, tak zupełnie inaczej niż w moim zatęchłym, zagraconym mieszkaniu.

– Chcesz coś do picia… – kobieta przerwała, a ja uznałam, że to po prostu niewypowiedziane zapytanie o imię.

– Edith. I jakby to nie był problem prosiłabym o szklankę wody mineralnej – splotłam dłonie na plecach i rozejrzałam się po salonie połączonym z aneksem kuchennym.

Kobieta zmarszczyła brwi słysząc moje imię. Wiedziała. Na pewno jakimś cudem wiedziała, że zabiłam jej córkę. Wróć… Że może zabiłam jej córkę. To nie ja. Nie zabiłam jej.

– Oczywiście – ruszyła do zlewu, a w pomieszczeniu rozległ się głośny stukot obcasów o wylakierowaną, drewnianą podłogę.

Chwilę później siedziałyśmy już w ogrodzie. Ja ze szklanką wody, ona z kieliszkiem czerwonego wina. Zauważyłam, że na palcu nie ma obrączki. Zaczęłam snuć domysły. Czyżby rozwiodła się z mężem? A może go w ogóle nie miała?

– Jestem samotną matką – uśmiechnęła się krzywo zauważając mój wzrok na jej dłoniach – a teraz nawet już nie matką – dodała duszkiem wypijając resztę wina ze swojego kieliszka.

– Przykro mi – starałam się zrobić odpowiednią minę, kątem oka zerknęłam na Janel.

– Dziecko… Nawet sobie nie wyobrażasz ile razy to już słyszałam. Mówią mi to wszyscy – przyjaciele, wrogowie, rodzina, nieznajomi. Zastanawia mnie czasem fakt ile z tych osób mówiło szczerze – prychnęła – i ile z nich tak naprawdę znało moją córkę – dodała po chwili.

– Naprawdę pani współczuję.

– Wiem. Wyglądasz na kogoś bardzo szczerego, Edith – pokiwała głową.

– Przepraszam na chwilę, pójdę skorzystać z toalety – wstałam odkładając szklankę na stolik.

– Drugie piętro, po lewej stronie.

Umyłam ręce w chłodnej wodzie. Mydło pachniało lawendą. Nawet łazienkę mieli schludną i elegancką. I z pewnością nie mieli tutaj strzykawek, jedynie drogie kosmetyki. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i poprawiłam ciemnobrązowe włosy. Uśmiechnęłam się lekko i wyszłam zamykając białe, lakierowane drzwi.

Naprzeciwko znajdował się pokój Luizy. Nie wiem skąd to wiedziałam. Po prostu czułam, że mieszkała właśnie tu. Minimalnie uchyliłam drzwi i przestąpiłam próg pokoju. Rozejrzałam się. W powietrzu unosił się mocny zapach waniliowych perfum. Przez jasne zasłony do pomieszczenia wpadało światło. Łóżko było starannie zaścielone, a na biurku panował porządek. Wielka szafa i lustro. Korkowa tablica ze zdjęciami jej i jej przyjaciółek, chłopaka, tylko jej. Podeszłam bliżej. Zmrużyłam oczy. Zdjęcie klasowe. W ostatnim rzędzie dostrzegłam uśmiechniętą dziewczynę z zielonkawymi oczami. Miała pełne radości spojrzenie wlepione wprost w fotografa. Było w niej coś znajomego. Gdy uświadomiłam sobie prawdę odsunęłam dłoń jak oparzona. To j a. To ja jestem tą wesołą dziewczyną, a ta blondynka obok to Luiza. A więc… Byłyśmy razem w klasie. Nerwowo zaczęłam się bawić palcami lewej dłoni. Nie mogłam uspokoić płytkiego oddechu. A więc dobrze się znałyśmy. Wszystko zaczęłam sobie przypominać – nawet nasze wspólne przyjęcie urodzinowe. Obchodziłyśmy urodziny drugiego kwietnia. Przyjaźniłyśmy się. A potem stałam się wariatką.

\*\*\*

Wracając do domu musiałam minąć jezioro. Ze świadomością, że się przyjaźniłyśmy było mi bardzo ciężko. Nie. Nie zabiłam przyjaciółki czy choćby koleżanki z klasy. Szybkim krokiem ruszyłam wzdłuż wody. Raptem poczułam wielki ból głowy – rozsadzający, przeszywający.

­­– Chodź do mnie! – ochlapała mnie przyjemnie chłodną wodą – wariatka Edith – zanuciła początek tej durnej piosenki, którą wymyśliła na początku gimnazjum.

– Nie jestem wariatką, Luiza – szepnęłam – nigdy nie byłam i nigdy nie będę! ­– mój głos stał się głośniejszy.

– Jesteś i dlatego teraz nie chcesz tego przyznać – popłynęła kawałek dalej.

W sukience weszłam do wody na co Luiza zmarszczyła brwi. Podpłynęłam blisko niej i spojrzałam prosto w jej oczy.

– Po raz ostatni – zaczęłam a dziewczyna spojrzała na mnie nieco przerażona. Jej cała pewność siebie wyparowała. I dobrze. Uśmiechnęłam się kpiąco – boisz się wariatki Edith? – prychnęłam.

Nie słysząc odpowiedzi uniosłam kąciki ust w krzywym uśmiechu.

– I słusznie – i wtedy złapałam jej lśniącego, jasnego kucyka i mocno pociągnęłam na co ona cicho pisnęła – tylko spróbuj krzyknąć – lekko zanurzyłam jej głowę pod wodę po czym wyciągnęłam. Luiza łapczywie zaciągnęła się powietrzem. Kaszlnęła. Widocznie do jej malutkich usteczek dostała się woda.

– Nie zabijaj mnie, proszę – szepnęła kaszląc po raz kolejny.

Minimalnie ją puściłam jednak wciąż pozostawiając dostatecznie blisko.

– Wiedziałam – jej dawna pewność siebie powróciła – za bardzo się boisz, nie dałabyś rady posunąć się do czegoś takiego.

– Czyżby? – syknęłam.

W tym momencie naprawdę miałam ochotę zrobić. Za to wszystko co mi zrobiła. Była moją jedyną przyjaciółką, a potem się ode mnie odwróciła. Za durną piosenkę. Za ciągłe wyzywanie. Za nastawianie innych przeciwko mnie.

A wiecie czemu? Bo zazdrościła mi taty, który z resztą też mnie zostawił kilka lat później.

– Nie zabijesz mnie – zaśmiała się cicho i spojrzała mi w oczy.

Oddychałam szybko. Nie wiem. Nie wiem czy to zrobiłam. Ból głowy minął tak samo prędko jak się pojawił. Nie patrząc po boki szybko wróciłam do mieszkania. Usiadłam na podłodze salonu. Zabiłam ją. Zabiłam Luizę. A może, a może jednak nie. W myślach chciałam przeanalizować wszystkie rozwiązania. Krzyknęłam chcąc zagłuszyć głosy.

– Edith zabiła Luizę. Edith powinna uciec czy się przyznać. Edith zdecydowanie powinna uciec – znajdą ją i zamkną. W więzieniu. Albo w ośrodku psychiatrycznym, bo to wariatka. A jeśli się przyzna. Będzie dobra – dla siebie, rodziny i Janel. Edith będzie dobra choć jej się to nie opłaca.

Nie wiedziałam. Nie wiedziałam co robić i nie wiedziałam czy w ogóle zabiłam Luizę. Wstałam otrzepując sukienkę. Idę na policję. Póki co podeszłam jednak do okna. Otworzyłam je i zapaliłam papierosa. Tak. Zgłoszę się na policję. Dopaliłam fajkę i niedopałek wyrzuciłam przez okno. Wyszłam z mieszkania i niepewnym krokiem ruszyłam na policyjny komisariat.

– Tak? – opryskliwie zapytał mężczyzna siedzący w poczekalni.

– Przyszłam zeznawać.

– W jakiej sprawie? – spojrzał na mnie.

– Zabiłam Luizę Laurens – rzuciłam krótko, wciąż patrząc na swoje buty na słomianej koturnie.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy jakby zobaczył ducha.

– Proszę tędy – wskazał mi dłonią korytarz znajdujący się na wprost.

Bez słowa ruszyłam prosto. Na samym końcu holu znajdował się gabinet dwójki policjantów. Darując sobie pukanie weszłam do środka.

– Zabiłam Luizę Laurens – odparłam i jak gdyby nigdy nic zajęłam miejsce naprzeciw długiego stołu, przy którym siedzieli.

– To już wiemy. Czekamy na zeznania – kobieta chwyciła teczkę i długopis.

Opowiedziałam im wszystko. Wszystko z najmniejszymi szczegółami – a przynajmniej tymi, którymi pamiętałam. Mówiłam o tym jak mnie wyzywała. O piosence o wariatce Edith, którą śpiewała zawsze, a potem dołączyły do niej inne dzieci. O tej nocy nad jeziorem, a dokończyłam tym, że ją utopiłam.

– Brałaś dzisiaj, prawda? – zapytał policjant lustrując mnie wzrokiem.

Pokiwałam jedynie w odpowiedzi głową. A nawet dużo.

– A tamtej nocy? – ciągnął uważnie na mnie patrząc.

Na to pytanie również odpowiedziałam twierdząco.

– I nic nie pamiętasz prócz kilku przebłysków? Jednego podczas głodu, a drugiego podczas haju? – zapytał przerzucając kartki pełne skrupulatnych notatek.

– Zakujcie mnie. Jestem winna. Zabiłam Luizę Laurens – mój głos łamał się, a w jego tonie można się było doszukać czegoś wyjątkowo żałosnego.

– Nie zrobimy tego – odparła kobiet odchrząkując – nie mamy żadnego dowodu, lepiej wracaj do domu.

– Ale… – już chciałam się sprzeciwić.

– Wracaj do domu, dziewczyno i nie proś o nockę na komisariacie – warknął mężczyzna, a ja wstałam.

– Do widzenia – szepnęłam ledwie słyszalnie i wyszłam zamykając ciężkie, stalowe drzwi.

\*\*\*

*Ciało młodej dziewczyny w jeziorze w Crawley*

Czytając to, Luiza jęknęła cicho siedząc na tarasie swojego domu.

– Dziewczyny – podsunęła przyjaciółkom gazetę – to wariatka – starannie pomalowanym na różowo paznokciem wskazała zdjęcie dołączone do artykułu.

– Teraz przynajmniej da nam spokój – zachichotała jedna z nich smarując nogi kremem przyśpieszającym opalanie.

Długo ludzie debatowali co stało się z Edith. Niektórzy mówili o wypadku. Inni o samobójstwie, a jeszcze inni, że w Crawley grasował morderca.

Nikt nie był pewny. Nikt nie chciał sprawiedliwości. Nie ufaj nikomu. Nawet sobie.